

Cynthia Leitich Smith

Nawiedzona miłość

Idąc do pracy, mijam podniszczony biały domek, w którym mieszkałem jako dziecko. Okna ma zabite deskami. Drzwi też. Przypuszczam, że wkrótce wystawiony zostanie na licytację. Przypuszczam, że pójdzie tanio. Nikt nie wprowadza się do spirit w Teksasie. Cor oku po maturze absolweci liceum wyjeżdżają – jeden, może dwóch na studia, reszta do pracy w większych miastach. A co parę tygodni w zakładzie pogrzebowym zbierają się ludzie, godnie żegnając kolejnego starego mieszkańca. Śmierć to najbardziej dochodowy biznes w Spirit. Wygląda na to, że tu wszyscy albo umierają, albo wyjeżdżają. Tylko ja nigdzie się nie wybieram. Tu jest mój dom. Ten mały kawałek świata ma dla mnie sens, a do tego ostatnio przywiązuję wielką wagę.

-Cody! - woła czysty dziewczęcy głos gdzieś za moimi plecami.
Ignoruję go. Nigdy nie byłem gadułą.

-Cody Strykerze! - powtarza nastoletnia córka nowego burmistrza, tego, który zamierza zmienić zamknięte sklepy w otwarte stylowe sklepiki z antykami, opuszczone domy w rodzinne pensjonaciki ze śniadaniem i w ogóle tchnąć w Spirit nowe życie.

Wkażdym razie często to powtarza. -Poczekaj – prosi. - Muszę z tobą pogadać.

Przystaję. Odwracam się. Czyżbym powiedział, że nikt nie wprowadza się do Spirit w Teksasie? Dziewczyna stojąca przede mną tego popołudnia jest wyjątkiem od reguły. Zeszłej jesieni Ginny Augustine wraz z rodziną przyjechała tu zaraz po tym, jak bank zajął za długi ich bank w The Woodlands, również w Teksasie. Na ogół wszędzie musisz mieszkać co najmniej rok, aby się ubiegać o lokalny urząd, ale do tej roboty nie było chętnych i pan Augustine został wybrany przez aklamację.

Patrzę na jej dłoń na rękawie mojej koszuli. Cofa ją natychmiast.

-Chyba nie zdążyliśmy się jeszcze poznać. Jestem...

-Wiem kim jesteś. - Ruszam przed siebie. Patrzę na nią przez ramię. - Czego chcesz?

Mruga zaskoczona, a mnie robi się trochę wstyd.

-Ooo...-mówi. - Ktoś tu jest w kiepskim humorze. Proponuję uczciwą umowę: zajmę się sprzedażą biletów. Fajnie, co?

Nie odpowiadam. Ginny próbuje jeszcze raz.

-No wiesz: kino...film...bilety...

Kino „Stara Miłość” ma otworzyć swe podwoje dziś o ósmej wieczorem, po raz pierwszy od przeszło pięćdziesięciu lat. Po śmierci wuja Deana sprzedałem trzecią część jego stada, antyczną strzelbę i rybacką łódź. Wystarczyło na pierwszą ratę. Nic z tego nie było wiele warte, ale „Stara Miłość” też. Poza tym dobrze jest mieć miejsce, w którym można regularnie spędzać noce. I jakąś motywację poza

zaspakajaniem pragnienia. Nie musieć już myśleć wyłącznie o tej nocy, kiedy stanęłam przed wujem po raz ostatni.

A teraz maszeruję przed siebie. Próbuję ignorować dziewczynę idącą obok mnie.

Ma szesnaście lat. Jest ładna, ale zwyczajnie ładna, w stylu sąsiadki z tej samej ulicy. Średni wzrost, krągłości tam, gdzie powinny być krągłości, długie włosy koloru miodu otaczające przyjazną buzię. Bładoniebieska obcisła koszulka z błyszczącym napisem „Szykowna” i przycięte jasne džinsy sprawiają, że wygląda wypisz wymaluj jak mieszkanka Spirit, prawdziwa dziewczyna z prowincji.

Dochodzimy do kina. Jest uparta, obchodzi budynek dookoła wraz ze mną. Kokieteryjnie opiera się o drzwi tylnego wyjścia, obserwując, jak szukam klucza w kieszeni džinsów.

-To wielki dzień- mówi. - Denerwujesz się?

-Nie - kłamię. Odsuwam zasuwę, wchodzę do środka i dopiero wtedy oznajmiam:

-Nie przyjmuję pracowników.

-Doprawdy? - dziwi się Ginny, jednocześnie wsadzając stopę w sandałe między skrzydło i framugę. - Więc zamierzasz wyświetlać film, prażyć kukurydzę, uzupełniać bufet, liczyć pieniądze za picie i jedzenie, czyszczyć wykładziny, zmieniać papier w toalecie, robić takie tam, co należy do kierownika, wiesz, rachunki, papiery...i to wszystko sam? Przemyśl to sobie kowboju. Jak zamierzasz sprzedawać bilety na film i jednocześnie prowadzić bufet?

Z jednej strony nie zamierzam jej zachęcać, ale z drugiej strony nie chcę, żeby odeszła wkurzona. Nie chcę jej wkurzać. Nie chcę wkurzać nikogo i kropka. Niepotrzebne mi kłopoty. Bardzo chciałbym, żeby po prostu znikła.

-Nie otwieram bufetu.

-I w ten sposób tracisz dochody. Ile możesz liczyć za bilet? Trzy dolce? Wiem, że ludzi ma się tu tanio, ale wiesz chociaż w przybliżeniu, jaki rachunek dostaniesz za, powiedzmy elektryczność? Jest lato. Jesteśmy w Teksasie. A to oznacza klimatyzację.

Szczerze mówiąc, nad tym się nie zastanawiałem. Nie żebym miał migesterium z biznesu czy coś w tym guście. Kilka tygodni temu zrobiłem maturę. Latem kosiłem trawniki. Kino to moja pierwsza prawdziwa praca poza ranczem. Całkiem możliwe, że ambicje miałem nieco na wyrost.

-Plus-mówi Ginny – ubezpieczenie, podatki i może będziesz chciał reklamować kino jako turystyczną atrakcję. Założyciele Spirit odgrywali kluczowe role w pierwszych dniach republiki, a turystyka historyczna staje się...

-Dosyć. - Jest córką polityka. Oczywiście. Otwieram szerzej drzwi. Wiedząc, że będę tego żałował, mówię: - Wejdz. Pogadamy.

Ginny idzie za mną przejściem dla dostawców. Milczy. Jest tu gorąco, wilgotno i duszno.

Zastanawiam się, ile ta dziewczyna wie o tragicznej przeszłości budynku, o

reputacji ciągnącej się za nim do dziś. Jeśli w ogóle coś wie. W roku 1959 w szafce na środku czystości znaleziono ciało nastolatki, Sonię Mitchell. Inna nastolatka, Kathrine Jakałam, zdaje się, że Vogel, po prostu znikła. Była nowa w mieście, jak Ginny. Jej ciała nie odnaleziono.

Obie dziewczyny pracowały w kinie. Obie miały szesnaście lat. Jak Ginny. Kolejne podobieństwo.

Tę historię znają tu wszyscy. I wszyscy wiedzą, że od czasu do czasu ludzie włamują się tutaj, żeby się napić i zabawić, a potem wieją kupą gdzie pieprz rośnie, wrzeszcząc coś o duchach.

Nie da się zaprzeczyć, że w tym budynku jest coś niesamowitego. W poprzednim tygodniu kilka razy pojawiała się wyrysowana na warstwie kurzu litera „S”, że raz i drugi słyszałem dobiegający skądś głos: cichy, kuszący, melodyjny, kobiecy...Zaczynam go słyszeć w snach.

Wchodzimy do holu. Nie daję Ginny tej satysfakcji, żeby od razu włączyć klimatyzację. Rozglądam się tylko dookoła, próbując spojrzeć na swój własny, nowy biznes oczami jego dzisiejszych klientów. To wielki, wspaniały pałac ze zwisającym z sufitu ogromnym kryształowym kandelabrem, powstały za czasów absolutnych rządów bawełny. Przyznaję, złota i szkarłatna tapeta wyblakła, krwistoczerwone wykładziny są wytarte, podobnie jak czerwone obicie krzeseł na parterze i wyżej, na balkonach. Ale moje kino nadal jest romantyczne; szept dalekiej przeszłości. A poza tym mama je kochała. Ilekroć przechodziliśmy obok, mówiła, że „Stata Miłość” to widmo z czasów świetności Spirit, że przypomina nam, kim byliśmy i kim możemy znów kiedyś zostać.

-Wiesz, jak obsługiwać kasę? - pytam Ginny.

A ona już się nią bawi. Mam tylko jedną, do rozliczania biletów, starszy model, który kupiłem na eBayu.

-Hmm – mruży, mierzac wzrokiem hol, i nagle uśmiecha się promiennie. - Wiem! Wyłożymy słodycze i popcorn na ladę, wypiszemy karteczki z cenami i ustawimy pudełko z rozcięciem, żeby ludzie mogli płacić, wiesz, honorowo. Jak w bibliotece, kiedy dostało się karę za przetrzymanie książki.

Gdzie indziej zapewne by to nie działało. W Spirit mogło zadziałać świetnie.

-Mam kilka pudełek w biurze – mówię. Niechętnie się do tego przyznaję, ale Ginny mi zaimponowała. Milczę chwilę, po czym pytam ją: - A właściwie po co ci ta praca?

Wzrusza ramionami. -Przyda się parę groszy.

I jej się przyda i mnie. Tak to jest jak się żyje wiecznie: plany finansowe trzeba robić ze sporym zapasem. No i uświadamiam sobie nagle, że jeśli o nią chodzi, to przecież nie ma szansy na żadną pracę. W każdym razie nie taką, żeby doszła do niej piechotą. Założę się, że kiedyś miała nowiutki modny wóz. Założę się że go straciła za nie płacenie rat.

Jednakże po prostu muszę zadać sobie pytanie, czy przypadkiem nie jest tu ze mną

dlatego, że chodzi jej o coś więcej niż tylko o pieniądze. Nie chciałbym wyjść na zarozumiałego, ale jestem całkiem przystojny. Mam niebieskie oczy mamy kontrastujące z ciemno opaloną twarzą, lśniący czarnymi włosami i ostrymi rysami, które odziedziczyłem po ojcu, kimkolwiek był. Jestem szczupły, lecz bardzo muskularny; to przez pracę na ranchu wujka Deana.

Poza Spirit dziewczyny zawsze flirtują; co wcale nie znaczy, że wiem jak by wypadało zareagować.

Z drugiej strony, jeśli o miejscowych chodzi, to tylko mi współczują. Kiedy mama zmarła, wszyscy mówili, że co za szkoda, sierota, a ma dopiero dziesięć lat. Potem wszyscy przecież wiedzieli, że chodzę posiniaczony. I wszyscy wiedzieli, jaki jest wujek Dean.

Przez długi czas tylko czekałem, aż ktoś doniesie na niego so pomocy społecznej: pastor, nauczycielka, szkolna pielęgniarka, ale nikt nie doniósł. Najwyraźniej wszyscy bali się wujka Deana tak samo, jak ja się go bałem.

Ginny patrzy na mnie, uśmiecha się dziwnie, jakby z góry wiedziała, że się zgodzę. Czeką na moją decyzję. A ja nie potrafię obronić się przed myślą, że przecież może się przydać. Nie potrafię nie zastanawiać się, czy ma chłopaka. Ale spędzanie najcenniejszych chwil z dziewczyną z krwi i kości samo w sobie jest problemem. Kości obleczone ciałem są problemem. Nigdy nie wiadomo, co jest większym problemem.

-W porządku.- mówię. - Masz pracę.

Kandelabr drży i dzwoni, zaskakując nas i dziwiąc.

-Przeciąg?- Ginny rozgląda się dookoła. - Skąd tu przeciąg? - pyta.

Zadaje zdecydowanie za wiele pytań.

-Włączyłem klimatyzację- mówię. Kłamię.

Po śmiesznie długich negocjacjach zgadzam się płacić Ginny dziesięć centów ponad minimalną stawkę. Odsyłam ją do domu, żeby się przebrała w białą zapinaną bluzkę, czarne spodnie i czarne buty. Przykazuję jej, by wróciła za kilka godzin. Idę do małego zagraconego biura. Nie zachwyca mnie bynajmniej świadomość, że wkrótce będę musiał zatrudnić drugiego pracownika. Kogoś stąd. Kogoś kto umie trzymać język za zębami.

W ciągu kilku lat muszę dojść do porozumienia z poczciwcami ze Spirit. Może i nie wiedzą, kim jestem ale kiedyś się przecież zorientują. Jeśli „rewitalizacja”, o której mówi tata Ginny, rzeczywiście się powiedzie, zostanę tu na pokolenia. Muszę przekonać wszystkich, że moja obecność nie jest dla nich ani odrobinę groźniejsza od obecności Edwiny LARBAGE, kolekcjonującej kule, w których zawsze pada śnieg, Betty Mueller rozmawiającej ze zmarłym mężem, czy panny Josefiny i panny Abigail, które „mieszkają razem” od ponad trzydziestu lat.

Uświadamiam sobie, że będę musiał zatrudniać ludzi, za którymi mógłbym się schować, by przyjezdni z sąsiednich miasteczek nie zorientowali się, że młody właściciel jakoś się nie starzeje.

Jestem już w swoim biurze. Włączam wmontowany w sufit wiatrak, zaczynam przeglądać stare gazety i pudła. Szukam jakiegoś odpowiedniego do ustawienia w bufecie. Wyławiam spojrzeniem połówkę egzemplarz „The Spirit Sentinel” z 13 czerwca 1959 roku. Nagłówek na pierwszej stronie brzmi „Miasto oplakuje swą córkę. Zaginęła kolejna dziewczynka.”

Podnoszę gazetę do oczu. Długo, uważnie przyglądam się czarno-białemu zdjęciu, dołączkom w policzkach Soni, jej wesołym oczom. Przesuwam palcem po krawędzi włosów otaczających śliczną twarzyczkę. Szesnaście lat. Na zawsze.

Nie chciałem być potworem niszczącym taką niewinność. Nigdy.

Sięgam do małej turystycznej lodówki, wyciągam butelkę krwi, przelewam ćwiartkę do kubka Texas A&M, wstawiam go do stojącej na półce mikrofalówki. W kilka minut później już piję ze smakiem, a uczucie obrzydzenia opuszcza mnie natychmiast.

Tak jest od zaledwie paru tygodni.

Zabawne. Kiedy dowiadywałem się z mediów, jak to dzieci wpadają w kłopoty za sprawą Internetu, tylko wznosiłem oczy do nieba. Dlaczego każde pokolenie, myślałem, musi zakładać, że wszystko co nowe, od odważnych strojów emancypujących się panien z lat dwudziestych przez rock and rolla po World Wide Web, to oznaki zbliżającej się nieuchronnie apokalipsy? Mam na ten temat teorię: rodzicielstwo wywołuje najpierw amnezję, potem paranoję...choć z drugiej strony muszę przyznać, że miło byłoby mieć kogoś, kto by się o mnie troszczył.

Niedługo po tym jak wujek Dean złamał mi zebro, usłyszałem w szkole o facecie z Athens w Georgii sprzedającym jakiś „eliksir mocy”. Uznałem, że to pewnie coś w rodzaju mieszanki sterydów, rzecz niewątpliwie ryzykowna, ale co tam, moje życie i tak nie należało do najbezpieczniejszych. W każdym razie podobno właśnie cały gar jego środka sprawił, że futbolowa reprezentacja szkolna El Paso zwyciężyła w rozgrywkach stanowych.

Takie to było proste: „pożyczyłem” sobie Mastercard wuja Deana, złożyłem zamówienie i ampułka dotarła do mnie następnego dnia w pudełku obłożonym suchym lodem. Pamiętam, że kiedy odkręcałem korek, myślałem: „Co to jest, do diabła?”

Trudno znaleźć odpowiedniejsze słowo.

Odpędziłem od siebie wspomnienia. Sięgnąłem po butelkę, dolałem krwi do kubka. Ktoś palcem wypisał coś na zgromadzonej na jego ścianie warstwie wilgoci. Wyglądało to jak literka „S”. Przed sekundą jeszcze jej nie było. Robi się coraz śmielsza, coraz energiczniej próbuje zwrócić na siebie uwagę. To mi pochlebia, przyznaję.

-Sonia?

-I co ty na to? - pyta Ginny, ustawiając w równych rzędkach na barze świeżo napełnione jednorazowe kubki.

-Nieźle.

Muszę przyznać, że spisała się świetnie. W czymś w rodzaju służbowego uniformu, z włosami zwiazanymi w koński ogon, wygląda jak wzór typowej zwykłej, zdrowej amerykańskiej nastolatki. Skłoniła też mamę, by pojechały do Wal-Martu (dwa miasteczka na północ). Kupiła lód, kilkanaście dwulitrowych butelek coli zwykłej, dietetycznej, Dr Peppera i Sprite'a, a także kartony przecenionych batoników.

Całkiem przekonujący dowód entuzjazmu i jeśli można tak powiedzieć, naprawdę bojowego ducha.

Moja pochwała sprawia, że Ginny z uśmiechem chwyta czarny marker. Wypisuje nim ceny i instrukcje, jak płacić w systemie honorowym. Marker i tablica informacyjna także są z Wal-Martu.

To nieuknione, że moje spojrzenie wędruje ku żyłce na jej szyji. Ma dziewczyna szczęście, że udało mi się uzupełnić zaopatrzenie z tego samego źródła, które sprzedało mi pierwszą fiolkę specyfiku.

Tamtej nocy kiedy pogrzebałem ciało wuja za stodołą, otrzymałem e-mail informujący, że awansowałem do grona „klientów specjalnych”, i zawierający kod, który umożliwia zalogowanie i kontynuowanie zakupów. Po zalogowaniu trafiłem na szereg stron o charakterze informacyjnym, gdzie znalazłem także formularz pytań i odpowiedzi dotyczących naszego gatunku oraz tego jak przygotowywać przeróżne mieszanki wina i krwi> Link odsyłał do internetowego serwisu dla samotnych (pod nazwą „Wieczna miłość”), dostępnego za darmo dla wszystkich zarejestrowanych. Przyznaję, przyjrzałem się, wbrew wszystkiemu rozbawiony reklamami środków na wydłużenie kłó, czy skrócenie ud oraz obietnicami znalezienia „wiecznego partnera:.. Nie mam najmniejszego zamiaru korzystać z jego usług.

Może i zaliczam się do grona naiwnych, może zapewniam długotrwałą emeryturę jakiemuś demonowi, ale przynajmniej dostałem to, czego pragnąłem. Nikt nie jest w stanie mi zagrozić.

Tylko nie miałem pojęcia, że przyjdzie mi za to zapłacić tak wysoką cenę.

Wyglądam przez okno na Main Street i z przyjemnością zauważam, że już zaczęła się ustawiać kolejka. Trochę nastolatków i zastępcę szeryfa hrabstwa z żoną. Na ten tydzień przewidziałem „Upiora w operze”, na trzy następne „ Nawiedzony pałac” z Vincentem Price, „Łowców duchów” i „Ducha”.

Wykorzystują niesamowitą reputację kina. Mam nadzieję, że Soni to nie przeszkadza. Coraz częściej czy to przybijając obłuzowaną deskę, czy sprząając odkurzaczem, czy uzupełniając odświeżacz creme Caramel w toalecie dla pań,

wbrew własnej woli zastanawiam się, czy to się Soni podoba. Nie potrafię obronić się przed wrażeniem, że próbuję jej zaimponować.

Szkoła skończyła się kilka tygodni temu. Lato przestało być wymarzoną nowością. Futbolisci i cheerleaderki ćwiczą przed południem i po południu, ale kończą o zmierzchu, mając wielką ochotę na wypuszczenie gdzieś pary. Powinien przyciągać miejscowych i ludzi z sąsiednich miasteczek choćby z tego prostego powodu, że nie mają nic lepszego do roboty.

-Trzy minuty-ogłaszam. Kolejka się wydłużyła. To ciekawość oczywiście, ale na ciekawości można budować.

-Tak długo?- dziwi się Ginny, ustawiając kartonik z ceną.-Lód się rozpuści!

-Lód nie zdąży się rozpuścić. A ty...doskonale sobie radzisz.

Znoszę światło słońca, choć wydaje się, że mnie osłabia. Zupełnie jak słoneczny uśmiech tej dziewczyny. Ginny jednym krokiem pochodzi do stanowiska sprzedaży biletów, nagle ślizga się i z zaskoczonym „Ojej!” przewraca. Nie myśląc, instyktownie wykorzystuję swoją nadludzka prędkość, chwytam ją w ostatniej chwili, podpieram. Ginny opiera mi rękę na ramieniu. Odzyskuje równowagę.

-A ty skąd się tu wzięłeś?-pyta.

Dotąd nigdy nie miałem przyjaciół wśród rówieśników, takich prawdziwych przyjaciół, po prostu rozmawiałem sobie z różnymi ludźmi przez Internet. Nie przyszło mi do głowy, że teraz ktoś mnie do siebie przyciągnie. Dobrze wiem, że nie powinno mi się to podobać, ale i tak pytam:

-Nic ci nie jest?

-Chyba nic.-Ginny już jest spokojna.-Przysięgłabym, że się o coś potknęłam. Oboje patrzemy na gładką czerwoną wykładzinę.

Ginny doskonale sobie radzi z kasą. Dorosłych traktuje z szacunkiem, „tak, proszę pani”, „tak, proszę pana”, młodzież po przyjacielsku; jest chodzącym czującym dowodem na to, że mimo iż kino jest „nawiedzone”, mimo że w jego historię wpisane są dramaty, wybór filmów o duchach jest właściwy. Taki żart. W końcy wszyscy świetnie się tu bawimy.

Ja napełniam kubki colą. Wspaniale! Przy systemie płacenia na słowo nie muszę nawiązywać kontaktu z klientami. A przynajmniej nie musiałem, dopóki nie pojawił się zastępca szeryfa.

-Ty jesteś młody Stryker?-pyta, wsuwając do pudełka zwitek banknotów dolarowych.

-Tak proszę pana.-Mówię spokojnie, nie podnosząc głosu. Nigdy nie miałem kłopotów z wymiarem sprawiedliwości. Wręcz przeciwnie, znają mnie jako przyzwoitego faceta, takiego, co to miał ciężkie życie, ale należy mu się szacunek. Same najlepsze oceny.-Witam w „Starej Miłości”, szeryfie.

-Jak tam wuj?-Wziął colę, pudełko Milk Duds i paczkę czerwonych cukierków lukrecyjnych. - Chłopcy z Hank's Roadhouse się o niego pytają.

Wiedziałem, że to pytanie padnie prędzej czy później. Wspomnienie o tym, że wuj miał kumpli, że miał jakąś swoją lepszą stronę, bolało, bo mnie objawiał ją tylko w nieliczne wolne dni albo kiedy udało mu się dobrze zarobić.

Ardło mam ściśnięte. Obracam głowę powoli, patrząc w lewo, potem w prawo i wreszcie wprost w oczy zastępcy szeryfa.

-Między nami?-upewniam się.

Energicznie kiwa głową.

-Moim zdaniem udało mu się wreszcie wkurzyć niewłaściwego człowieka.

Wywiał aż do Matamaros, nim gość tutaj znalazł jego ślad. Nawet się nie pożegnał.

Zastępca szeryfa kupuje to bez wahania.

-Dla nas tylko lepiej-mruczy pod nosem. Odchodzi, ale zatrzymuje się na chwilę, podaje jedną colę żonie, a do mnie mówi:-Miło wiedzieć, że do czegoś wreszcie dochodzisz. Twoja mama była wspaniałą kobietą.

Przez jakiś czas napełniam kubki, od czasu do czasu powtarzając „dobry wieczór” i „cześć”. Klienci kupują i płacą. Nie trwa to długo. Przy kasie biletowej wszczyna się jakieś zamieszanie.

-Ben proszę...-Ginny podnosi głos. - Mam klientów.

Ben Mueller był w liceum klasę niżej ode mnie. Jego brat gra w futbol dla Baylor, mama uczy w podstawówce, a tata handluje przy autostradzie używanymi samochodami. Dziadek Bena, Derek Mueller, zmarł dwa lata temu na atak serca. Przez czterdzieści lat służył hrabstwu jako szeryf. Sam Ben jest całkiem popularny: dobry sportowiec, chodzi do kościoła. Nie znam go, tylko wiem, jaką cieszy się opinią. Często uśmiecha się z wyższością i wygląda jak jeden z tych standardowych blondynów z kalendarza.

-Jakieś problemy, Ginny?- pytam, podchodząc.

Ben śmieje się, ale gorzko, z gniewem.

-Z ciebie też jakieś dziwadło?-pyta zaczepnie.

Za Benem stoi Tricia, właścicielka salonu piękności. Szepcze coś do swej najlepszej przyjaciółki, Martie. To nasze królowe plotek, a jeśli rozejdzie się, że „Stara Miość” to miejsce opanowane przez tych „dzikich młodych chuliganów”, jestem skończony. Muszę tę sprawę załatwić szybko i bez zbędnego zamieszania.

-Ben, proszę- mówi Ginny.- Musisz zapłacić za bilet lub wyjść.

-Świetnie, ale wiesz, że jestem...

Chwytam go za ramię. Widzę, że zaskakuje go tak silny chwyt. Patrzę mu prosto w oczy, dopiero teraz uświadamiam sobie, że jestem od niego o dobre parę centymetrów wyższy. Według FAQ-u na stronie mojego dostawcy krwi, niektórzy z nas potrafią zawładnąć wolą słabych albo znerwicowanych. Uznaję, że warto spróbować.

-Odwrócisz się teraz i wyjdiesz.-mówię spokojnie.

-Odwróć się teraz i wyjdę- powtarza Ben, odwraca się na pięcie i wychodzi przez frontowe drzwi.

Zaskakuje mnie własna skuteczność. Powtarzam: właściwie nie znam Bena, ale nie powiedziałbym o nim, że jest słaby, a jeśli chodzi o nerwy, to aż bije w oczy, że do tej pory żył jak pączek w maśle.

-Mój bohater!-mówi Ginny i w jej głosie brzmi prawdziwy podziw. Natychmiast zwraca się do dwóch dam, następnych w kolejce.- Czym mogę paniom służyć?

*

Kiedy już wszyscy zajęli miejsca, puszczam „Upiora w operze”. Siedzę w salce projekcyjnej, kiedy Ginny mnie woła. Jest wstrząśnięta, nawet przestraszona. Dosłownie sfruwam schodami w dół. Przez wahadłowe drzwi wpadam do damskiej toalety. Ginny pokazuje mi wypisane na lustrze śliwkową szminką dwa słowa. „WYNOŚ SIĘ”.

Nie było ich tu przed otwarciem kina. Nie zauważyłem, żeby ktoś wszedł do toalety przed początkiem filmu. Wyraz twarzy Ginny nie pozwala podejrzewać, że sama to zrobiła, choć jej wargi mają identyczny kolor.

Zdejmuje szminkę z półki nad umywalką.

-Tak, jest moja. Miałam ją w torebce – potwierdza .

Kiedy wieczorem przyszła do pracy, sam zamknąłem jej torebkę w biurze.

To musiała być robota Soni . Nie wiedziałem, że potrafi przenosić przedmoity.

Mniejsza z tym, w każdym razie zaczyna wyglądać na to, że chce zatrzymać to miejsce dla siebie. Nie rozumiem. Dopiero zaczęliśmy się poznawać, ale wydawało mi się, że sprawy układają się nieźle.

-Głupi żart – mówię, dodając Ginny odwagi, - Trzeba to zmyć.

Dziewczyna sięga do małej szafki, wyjmując płyn do czyszczenia szyb w sprayu i rolkę papierowych ręczników.

-Coś ty zrobił Benowi? - pyta mnie bez nacisku, lecz i tak zdaję sobie sprawę, że zachowałem się strasznie nieostrożnie.

Bo przecież muszę być poza wszelkim podejrzeniem. Muszę się nauczyć, jak bez użycia mych szczególnych mocy radzić sobie z ludźmi, zwłaszcza ze zwykłymi, typowymi awanturnikami. Żadnego opanowywania umysłów. I skoro już przy tym jesteśmy, żadnych nadzwyczajnie szybkich ruchów.

Odpowiadam pytaniem na pytanie:

-A jak to właściwie jest między tobą a Benem?

Ginny pryska płynem na szkło.

-Mogę ci zaufać?

Nie wyobraża sobie nawet, jakie to ważne pytanie. Nie jestem pewien, jak na nie odpowiedzieć.

-Możesz ze mną porozmawiać-mówię w końcu. - Każdy ci powie, że ja nie plotkuję. - To przynajmniej jest prawdą.

Podchodzi do drzwi, wystawia głowę, patrzy w prawo i lewo. Chce się upewnić, że

nikt nas nie podsłuchuje.

-No...

-Zaczekaj. Chodźmy do mojego biura. Drzwi do biura mają zamek. Nie można tam tak po prostu wejść.

-A co z tym? - Ginny wskazuje lustro.

Wzruszam ramionami

-Powiemy, że to duchy.

-Duchy?

Po drodze opowiadam Ginny trochę o historii i o „nawiedzeniu” jako elemencie miejscowego folkloru. Z poważnego wyrazu jej twarzy wnoszę, że uważa pomysł z duchem za obraźliwy, bluźnierczy, albo może interesuje się w tej chwili bardziej przyziemnymi sprawami.

Wchodzimy do środka. Zamykam drzwi, siadam za biurkiem. Czekam, starając się nie okazywać zniecierpliwienia. Nie możemy siedzieć zbyt długo przy zamkniętych drzwiach. Formalnie Ginny jest ciągle nieletnia. Ale coś w sobie ma i między nami rodzi się jakaś więź. Tylko dziś, tylko w jej obecności wypowiedziałem więcej słów niż przez cały rok.

Ginny krzyżuje ramiona na piersiach.

-Nie znam jeszcze mieszkańców Spirit, a w każdym razie nie tak, jak oni się między sobą. Na przykład nie wiedziałam nic o Benie.

Pochylam się, zrzucam gazety ze skrzyni, żeby miała na czym usiąść.

-Czego nie wiedziałaś?

Ginny siada posłusznie.

-Ja... no... poszliśmy na bal maturalny. Ben wynajął na noc pokój w motelu przy autostradzie. Pomyślałam, że to może oznaczać tylko jedno. On myślał, że...

-Rozumiem. - Mnóstwo chłopaków oczekuje po balu maturalnym nie wiadomo czego. Musiałem zadać sobie pytanie, jak bardzo źle Ben zareagował na odmowę. Sam fakt, że dziś znowu naciskał na Ginny, dowodził, że musiała to być przykra scena.

-Uciekłam przez okno łazienki.

Mogło być gorzej.

-Chcesz, żebym cię dziś odprowadził do domu?

-Tak. - Ginny wstaje. - Nie. Wszystko w porządku. Tylko...nie myślałam, że to może się tak skończyć. Do głowy mi nie przyszło, że jedna głupia randka...

-I będzie cię nawiedzał w snach? - podpowiadam.

Przebiega ją dreszcz.

-Skąd wiesz? - pyta.

Pamięć przywołuje przed oczy twarz mojego wuja.

-Nazwij to przecuciem.

„Starą Miłość” opuścił ostatni zadowolony klient. Ginny idzie przez hol z wielką

czarną torbą na śmieci.

-Kończmy już i chodźmy świętować – mówi do mnie, uśmiechając się przy tym swoim promiennym uśmiechem, po czym znika w sali kinowej.

Świętować? Chyba będę musiał posadzić ją w biurze, wyjaśnić jej, że jestem pracodawcą, a ona pracownikiem i że to się nigdy nie zmieni. Tylko że...potrzebuję przyjaciela.

-Poczekaj – mówię. - Pomogę ci.

Biorę od niej torbę i nagle świta mi myśl, że powinienem najpierw odwiedzić toalety. Idę więc korytarzem, ale zwalniam kroku, bo znów słyszę ten tajemniczy głos.

-Sonia?... - Czy to ona śpiewa? - Sonia?...

Upuszczam torbę za śmieciami na czerwoną wykładzinę, przyspieszam kroku. Idę w stronę, z której dobiega głos. W miarę jak się do niego zbliżam, jest coraz donośniejszy i wyraźniejszy.

Znam tę piosenkę, już ją słyszałem. W Spirit odbieramy tylko trzy stacje radiowe: jedną hiszpańską, jedną nadającą country and western i jedną ze starymi przebojami. To hit z lat pięćdziesiątych, „To Know Him Is To Love Him”. Jest melodyjny i jednocześnie banalny; kiedy raz się go usłyszy, zostaje w pamięci na reszcie wieczoru. Głos doprowadza mnie pod drzwi obskurnego pokoju rekreacyjnego; w pogoni za terminem wielkiego otwarcia uznałem, że mogę się nim zająć później. Sięgam do kieszeni po klucze, kiedy drzwi, podobno zamknięte, otwierają się same.

W pokoju jest chłodno, o wiele chłodniej, niż powinno być, zwłaszcza przy wyłączonej wentylacji. Wita mnie zlew i szafki, puste miejsce, gdzie powinna stać wielka lodówka, i odrapany stół na sześć osób, przy którym stoi pięć metalowych krzeseł.

Głos dobiega z jednej z dziesięciu zardzewiałych niskich szafek stojących rzędem pod ścianą. Wstrzymałbym oddech, ale...nie muszę przecież oddychać.

-Co mi próbujesz powiedzieć?

Otwieram szafkę. Okazuje się być pusta. Głos jest coraz donośniejszy, w pokoju robi się coraz zimniej. Za plecami słyszę stuk, jakby coś upadło na stół. Odwracam się. Widzę unoszącą się ku sufitowi chmurę kurzu i oprawioną w płótno książeczkę. Podchodzę, głos przycicha z każdym moim krokiem i milknie, gdy biorę do ręki..tak, to pamiętnik.

Przeglądam wpisy, każdy oznaczony literką „s”. Spomiędzy kartek wysuwam zdjęcie ślicznej ciemnowłosej dziewczyny, tej samej, której fotografia zdobi pierwszą stronę leżącego u mnie w biurze „The Spirit Sentinel” z 1959 roku. Dziewczyna przytula przegowanego kota.

Zdumiewające! Zawsze byłem samotnikiem, a teraz w moje życie wkroczyły dwie dziewczyny.

Ginny łatwo zrozumieć, ale Sonia? Śpiew, pamiętnik, nawet tajemnicze „S” pojawiające się to tu, to tam wydają się znacznie bardziej przyjazne niż „Wynoś się” w toalecie. Czy rzeczywiście chce, żebym się wyniósł, czy też po prostu dostroiła się do legendy „nawiedzonego kina”?

I w tej chwili z drugiej strony budynku dobiega mnie krzyk Ginny. Biegnę do sali kinowej. Widzę dziewczynę trzymającą się za prawe ramię. Spomiędzy jej palców cieknie krew. Czuję ten zapach, niemal czuję smak. Czuję, jak wysuwają mi się kły. Opanowuję się, lecz zabiera mi to chwilę. Krzyczę „Ginny!”, jakbym nie widział jej pochylonej daleko przy pierwszych rzędach.

- Tu jestem!- Ginny się prostuje. Włosy koloru miodu zasłaniają jej twarz. Podbiegam do niej.
- Co się stało? Skaleczyłaś się o krzesło?
Tek krzesła są stare, grubo wyściełane i składane. Łatwo sobie zedrzyć skórę na sterzącej sprężynie.
- Nie. - Ginny unosi rękę. Odslania ramię, na którym widzę trzy krótkie głębokie rany, jak od paznokci. - Czułam się zupełnie tak, jakby podrapał mnie powiew wiatru – mówi zdziwiona.
Sonia!
Oblizuję się instynktownie, nie od razu dociera do mnie, co robię.
- Trzeba zszyć – mówię. - Jedźmy...
- Nie, nie, wszystko w porządku. To przez zaskoczenie...
- Zostanie blizna – nalegam.
- Daj mi koszulę.
- Co?
- Koszulę. Potrzebny jest, no wiesz ucisk...

Zawstydzony nieporozumieniem, rozpiąłem koszulę, nim zdołała dokończyć. Składałam ją najlepiej jak potrafię, opatruję ramię.

- Mój bohater – powtarza Ginny. Wspina się na palce, chce mnie pocałować w policzek, ale chwieje się i jej usta zatrzymują się na długą chwilę na mojej szyji.
- A jeśli chodzi o świętowanie...
- Wracaj do domu, Ginny – mówię.
Ginny robi zbolaną minę, jak krzywdzone dziecko, którym w gruncie rzeczy jest.
- Ale..
- Chodzi mi tylko o ciebie – mówię łagodniej, z troską. - Będzie mi lepiej, jeśli wrócisz do domu.
Odprowadzam ją wzrokiem, złą jak osa. Wreszcie znika za drzwiami.
Bezcielesny głos, miękki, śpiewny i wściekły, szepcze mi do ucha:
„Morderca, morderca, morderca...”

Wracam na ranczo wuja. Idę za stodołę, na jego nieoznaczony grób. Pochowałem go głęboko, owiniętego w meksykański koc. Ziemia tu jest naga i twarda, ubita. Powtarzam sobie, że dla niego to lepsze, właściwsze miejsce niż na starym cmentarzu w miasteczku. Wuj Dean kochał swą ziemię...o tyle, o ile był w stanie kochać

cokolwiek.

A jednak ten grób nie daje mi spokoju. Nie ma nagrobka, nie ma krzyża...Wuj mógł być złym człowiekiem, ale był starszym bratem mamy.

Nadchodzi świt. Opędzam się od poczucia winy, wchodzę do domu. W tej chwili siedzę przy stole w pokoju jadalnym. Surfuję po sieci, popijając podgrzaną w mikrofalówce krew. Szukam informacji o duchach. Ta sprawa z Sonią wydaje się typowa, przynajmniej według tego, czego zdążyłem się już dowiedzieć. Zginęła gwałtowną śmiercią to klasyczny przykład „niezałatwionej sprawy”. Doskonały powód do nawiedzania. Wydaje się oczywiste, że Sonia pragnie bym wiedział, kim jest. Pisze inicjał swego imienia; te znaki są aż nazbyt oczywiste.

Ale...według artykułu w gazecie to była naprawdę słodka dziewczyna. Uczyła się w szkółce niedzielnej, pomagała starszym sąsiadom. Przejrzałem pamiętnik upstrzony literą „S”. Potwierdzał, że miała dobre serce, ozdobny charakter pisma i typowe dziewczęce problemy”: praca domowa, chłopiec („D”), rywalka („K”). Uwielbiała Elvisa („E”) i kociaka imieniem Peso („P”). Na Boże Narodzenie zbierała zabawki dla biednych dzieci.

Być może sądzi, że zagrażam Ginny. Chce, żebym wiedział, że ma mnie na celowniku. Nie jestem jednak pewien, dlaczego w takim razie zaatakowała właśnie Ginny. Może, jak duch, ma problemy z orientacją? A może chroni ją, próbując odstraszyć?

Całkiem możliwe, że „Stara Miłość” jest domem więcej niż jednego ducha. „K” to może być Katherine, ta, która znikła. Z pamiętnika wynikało, że ona i Sonia za życia niezbyt się ze sobą zgadzały. Żadnych twardych dowodów jednak nie mam, a śpiewny głos, który doprowadził mnie do dziennika w pokoju rekreacyjnym, i głos powtarzający: „Morderca” wydają mi się identyczne.

A poza tym ilu martwych może trzymać się jednego budynku? Tak czy inaczej trudno nie pamiętać słów wypisanych szminką czy tego, że Ginny została zaatakowana i skaleczona. Jeśli nie uda mi się przekonać Soni (jeżeli rzeczywiście o nią chodzi), że jestem nieszkodliwy, będę musiał ją przepędzić. Albo to, albo wszelkie próby ożywienia „Starej Miłości” są z góry skazane na niepowodzenie.

Pytanie tylko: jak? W mojej sytuacji raczej trudno wzywać pastora czy księdza. Gorzej. Duch może mieć rację. Potrafię być śmiertelnie niebezpieczny. Już raz zabiłem.

Wypijam kolejny łyk krwi. Dopiero teraz dostrzegam, że na wyświetlaczu telefonu miga numer nieodebranego połączenia. Ben Mueller. Nie zostawił wiadomości. Dlaczego Ben miałby tu dzwonić? Czyżby rzeczywiście sądził, że Ginny wróciła do domu ze mną? Jeśli chodzi o dziewczyny, nie cieszę się przecież żadną szczególną reputacją. Z drugiej strony zna Ginny lepiej niż ja, a biorąc pod uwagę, jak pocałowała mnie w szyję...

A jednak...dzwonić po tym, jak się pokłócili, to już da się zakwalifikować jako prześladowanie. Może Sonia ma rację, może Ginny jest jednak w niebezpieczeństwie, tylko wybrała sobie złego faceta?

Następnego wieczora, spacerując po kinie, nie słyszę śpiewu, nie wyczuwam zimniejszych miejsc. I nigdzie nie dostrzegam wypisanej litery „S”.

Dziś to ja zatroszczyłem się o bufet. Zadzwoiłem także tu i tam, zamówiłem regularne dostawy słodczy, popcornu i coli. Dziś muszę jakoś uspokoić Sonię.

Ginny wpada do holu dokładnie o siódmej wieczorem. Włożyła inną bluzkę, z długimi rękawami zapiętymi w nadgarstkach.

– Jak ręka? - pytam od bufetu.

Wzrusza ramionami.

– Wyglądało gorzej, niż rzeczywiście było.

– A Ben? - naciskam. - Nie narzucał ci się?

– Nie dziś – mówi, zerkając mimowolnie na frontowe drzwi

I nagle słyszę Sonię. Znów szepcze mi do ucha: „Morderca”.

– Nie! - krzyczę i widząc wyraz twarzy Ginny, spieszę z wyjaśnieniami:

– To nie do ciebie. - Sfrustrowany przeciągam dłonią po włosach. - Bardzo mi przykro, ale już będziesz musiała wyjść. Dziś zamknięte. Tu...tu ktoś jest. Wiem, jak to brzmi, ale to...

– Duch? - Ginny podnosi skaleczone ramię. - No tak, tego się domyślałam. Osobiście sądzę, że powinniśmy wygnać sukę egzorcyzmami.

Och! Nie takiej reakcji się po niej spodziewałem. Po prostu muszę podziwiać odwagę tej dziewczyny. Może jednak mamy przed sobą jakąś przyszłość? No bo skoro jesteśmy gotowi o nią walczyć...

Patrzę na Biblię mamy leżącą na barze, owiniętą w kuchenny ręcznik. Nie wiem, czy stanę w płomieniach, jeśli jej dotknę. W ogóle nie wiem co robię. Mimo że Sonia zaatakowała Ginny, nie ukrywam, że możliwość jej wygnania budzi we mnie mieszane uczucia. W końcu nie jestem człowiekiem niewinnym, a ona, sądząc po wspomnieniach o niej, była niewinna.

– Mówię poważnie. Załatwmy to teraz, od razu. - Ginny robi krok w moją stronę. Wir powietrza odpycha ją, oddziela nieprzebytą przezroczystą ścianą. Słodczyce i kubki fruują w powietrzu, z napełnionych kubków pryska cola. Na czole Ginny pojawia się krwawa krecha. Kryształowy kandelabr drży, zaczyna się kołysać.

– Sonia! - krzyczę, próbując dosięgnąć Ginny. - Soniu, proszę! Posłuchaj mnie! Popełniasz błąd, nie rozumiesz? Zraniłaś ją!

– Morderca! - mówi głos Soni, tym razem donośniejszy od mojego. - Morderca!

– Ja...- Czy muszę się przyznać? Czy to załatwi sprawę? - Ja...

Ginny przewraca się na wznak. Rzuca się, walczy, jakby dusiły ją niewidzialne dłonie. Kopie nogami. Jakaś siła podnosi ją w górę, obraca, znów ciska na ziemię.

Nie rozumiem. Sonia wie, że to ja jestem potworem. Dlaczego więc atakuje ją, nie mnie?

Przez głowę przelatuje mi myśl: może jest zazdrosna? Ale znów rozlega się ten krzyk: „Morderca! Morderca!”

- Masz rację, Soniu! Masz rację! - Nie zamierzałem zabić wuja, choć gdybym go nie zabił, prędzej czy później on zabiłby mnie. Ja tylko chciałem być silniejszy, wystarczająco silny, by móc się obronić. Nie wiedziałem, że wraz z siłą przychodzi żądza krwi. Nie nauczyłem się jeszcze jej kontrolować. - Przestań proszę. Ukarz mnie, nie ją!

Jestem gotów w pokorze stawić czoła jej osądowi, gdy nagle od strony korytarza służbowego do holu wdziera się Ben. W jednej ręce ściska wielką siekiere, w drugiej – mój Boże! - trzyma za włosy głowy rodziców Ginny! Rzuca je na czerwoną wykładzinę.

- Cześć, Ginny – mówi.

Czyżby Sonia go posiadała? Czyżby postradał zmysły?

Ginny klęczy z pochyloną głową, osłania twarz dłońmi. Jest takim łatwym celem.

- Morderca, morderca, morderca! - powtarza Sonia.

Ben waha się, szuka wzrokiem osoby, która wypowiedziała te słowa.

- Soniu! - W ostatniej chwili uchylam się przed pudełkiem Milk Duds. Chcę pomóc. Muszę pomóc, ale nadnaturalny wiatr przykuwa mnie do miejsca. - Uwolnij ją! On ją zabije!

Skulona na czerwonej wykładzinie Ginny wydaje się taka malutka. Właściwie znamy się od dwóch dni, lecz ta dziewczyna rozjaśniła me życie jak promień słońca, wzniosła w nie swój blask. To jeszcze nie miłość, ale już nadzieja na miłość, coś, czego nie zaznałem od dziesiątego roku życia. Jeśli Ginny mnie chce, jak mogę być potworem?

Chwytam Biblię. Ignorując ból, unoszę ją nad głową.

- W imię... - Podnoszę głos, zaczynam od nowa. - W imię Ojca i Syna...

Ginny wyje, unosi głowę. Niewinna buzia znika, widzę ją prawdziwą. Rzeczywistą. Nieśmiertelną. Demoniczną. Jak ja jest wampirem.

Upuszczam Biblię, zaciskam poparzoną dłoń.

- Ginny?

Ben patrzył na nią, potem na mnie i znów na nią, jakby próbował ocenić, po której jestem stronie.

- Miałam ci powiedzieć... - mówi Ginny błagalnym głosem. - Kiedy zobaczyłam twój profil w systemie, pomyślałam, że to znak. - Prostuje się gwałtownie, duch uderzył ją w plecy – Chcę miłości, takiej miłości, która trwa.

System. „Miłość, która trwa”. Mówi o serwisie randkowym mojego

dostawcy krwi. Pewnie sama korzysta z jego usług.

- Sonia! - krzyczy teraz. - Nie masz nic lepszego do roboty? Jesteś słaba, przegrywałaś za życia, przegrywasz i teraz. A nie mówiłam, że to miasto będzie kiedyś należało do mnie?
- Morderca – powtarza głos. - Katie, morderca!

A więc to Ginny zabiła Sonię. Sonia nigdy nie próbowała jej odstraszyć, ochronić przede mną. Kiedy powtarzała: „Morderca”, nie mnie miała na myśli. A Ginny była kiedyś Katie, Katheriną, której ciała nigdy nie odnaleziono.

Skulona Ginny skacze nagle, atakuje Bena. Na jej ciele pojawia się rozcięcie, krew plami białą bluzeczkę. Wytrąca mu siekierę z ręki, podcina nogi. Ben nie może się z nią równać.

Ginny nie może walczyć z Sonią, ale może rozerwać Bena na strzępy.

- Chcę mu pomóc – mówię i upiorna siła, która mnie powstrzymywała, znika tak szybko, jak się pojawiła. Przeskakując przez bar, chwytam leżący na wykładzinie topór, staję pomiędzy nimi. Widzę jak w oczach Ginny błyska nadzieja. W odróżnieniu od Bena ona wie, że należymy do tego samego gatunku.

Już przyznała, że mnie pragnie. Już nazwała mnie swoim „bohaterem” i to swukrotnie. Powoli kręć głową. Nie pozostawiając wątpliwości co do moich intencji.

- Nie zrobisz mi tego – szepcze, ale już rozumie.
Pobiliśmy ją: Sonia, Ben i ja. Razem. W jej głosie słychać rezygnację, ostatnie słowa brzmią: „Tata miał takie wielkie plany”.
Odcinam jej głowę siekierą, puszczam trzonek, drzę na całym ciele.
Przez chwilę nic się nie dzieje, panuje cisza. Potem Ben wstaje z wysiłkiem. Kładzie mi rękę na ramieniu.
- Jak tam? - pyta
- Jakoś leci – odpowiadam. - A jak u ciebie?
- Zaczaiła się na mnie po balu maturalnym. Od tej pory próbuję wygnać ją z miasta.
Wygnać z miasta. Ben jest stąd. Ja jestem stąd. Bóg dobrze wie, że i Sonia jest stąd. A Ginny? Nowa w Spirit jeszcze raz, pod innym imieniem.
- Chciałem się jej pozbyć. Chciałem przed nią ostrzec. Przestraszyć ją – mówi Ben. - Prosiłem o pomoc rodzinę, ale nikt mi nie wierzył. Nie wyglądała na wampira, sam wiesz.
- A tak. Wiem. - przyznaję.
Ben nieprędko zapomni co tu się zdarzyło. Nie należy do ludzi, którzy mogą zniszczyć kogoś, a nawet i coś i nie mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. Wiem, co teraz czuje. Lepiej od niego wiem, co czuje.

Od tamtego wieczora minęły dwa tygodnie. Przez te dwa tygodnie nie dostrzegłem ani śladu Soni. Już za nią tęsknię. Wstyd mi, że zwątpiłem w jej dobroć, i cieszę się, że potwór, który ją zabił, nigdy już nikogo nie skrzywdzi.

We dwóch z Benem pochowaliśmy za moją stodołą ciała Ginny i jej rodziców razem z ich głowami. Siekierę, którą Ben wziął z biura burmistrza, zakopałem koło ciała

wujka.

- Wiosną mógłbyś posiać tu jakieś polne kwiaty – powiedział do mnie Ben. - W końcu to kiedyś byli ludzie, nie?

Obiecałem, że to zrobię, i zapisałem sobie w pamięci, by zasiać kwiatki także na grobie wuja Deana. Następnego dnia Ben nałgał swej ciotce Betty, że Augustinowie spakowali się i wyjechali w środku nocy, bo burmistrz dostał na północy pracę z sześciocyfrową roczną pensją. Powiedział, że Ginny tłumaczyła mu, że tata był zbyt zawstydzony, aby się przyznać w mieście do wyjazdu po tym, jak złożył tyle wspaniałych obietnic, więc postanowił uciec. I że tego dotyczyła ich sprzeczka w kolejce po bilety.

Dzień później Betty powtórzyła tę historyjkę w salonie piękności i od tej pory stała się ona obowiązującą wersją wydarzeń. Zastępca szeryfa już wydrukował ulotki, rekomendując się na kandydata w najbliższych wyborach. Złożyłem podpis na jego liście poparcia.

Okazało się, że Ben jest całkiem fajnym facetem. Jego dziadek, szeryf Drek Mueller, był łowcą wampirów i w swoim czasie przegnał z miasta wampirów. To co widział i czego się nauczył, przekazał wnukowi, żeby ktoś tu wiedział, co zrobić, gdyby morderczy nieśmiertelni znów nawiedzili Spirit.

Ben postanowił popracować w „Starej Miłości”, by zaoszczędzić na studia.

Najwyraźniej osiągnięcia sportowe tutaj nie gwarantują stypendium. Konfrontacja z nieśmiertelnymi dodała mu lat doświadczenia. Nie wie, kim jestem, jeszcze nie, ale kiedy wyjaśniłem mu sprawę z Sonią, przyjął to dobrze. Mam nadzieję, że w dniu kiedy uświadomi sobie, że nie jestem jeszcze jednym chłopakiem z miasta, pomyśli o tym, co było, i nie zrobi nic nieprzemyślanego.

Dziś, po tym jak „Łowcy duchów” ocalili Nowy Jork, dziękuję mu. Mówię, że zrobił dobrą robotę. Zamykam za nim frontowe drzwi i...słyszę Sonię śpiewającą „Poznać go, znaczy pokochać”. Oglądam się i widzę ją...po raz pierwszy. Pracuje jakby nigdy nic, wyciera bar, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. Jawi mi się jako przezroczysta postać w uniformie prawie niczym nie różniącym się od tego, który nosiła Ginny, tylko z czerwoną kamizelką, ze złotą naszywką głoszącą „Kocham kino”.

Nawet nie wiedziałem, że ciągle tu jest. Nie rozumiem. Teraz kiedy odeszła Ginny, nic jej przecież nie trzyma.

- Soniu?

Podnosi głowę, widzę dołeczki i śmiejące się oczy.

- Cody!

- Soniu – mówię na wypadek, gdyby nie zrozumiała, co się stało. -

Unicestwiliśmy twoją morderczynię. To koniec. Już nie musisz...możesz, no wiesz, odejść w światłość.

Przechyla lekko głowę.

- Nie chodziło tylko o sprawiedliwość – mówi głucho brzmiącym głosem. - Powiedz mi, Cody, czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

Patrzę na nią i Bóg mi świadkiem, jestem gotów w nią uwierzyć!
Dowiedziałem się z sieci, że im bardziej wierzysz w duchy, im silniejszymi darzysz je uczuciami, tym bardziej cielesne się stają.

Z każdą mijającą sekundą Sonia rzeczywiście wydaje mi się coraz bardziej cielesna, bardziej żywa. Muszę też sam przed sobą przyznać, że pod wieloma względami jesteśmy dla siebie stworzeni. Nas oboje wiąże to stare kino. Oboje jesteśmy martwi. A co najlepsze, nie muszę się martwić, że skrzywdzę Sonię. Nie ma ciała. Nie ma krwi. Nie ma problemu. To może być coś więcej niż tylko nadzieja miłości. To może być prawdziwa miłość. Ale jest coś, co muszę jej najpierw powiedzieć. Pewnie nie wie, co się zdarzyło na ranchu wuja, myślałem jednak, że zrozumiała kim jestem, w końcu widziała butelkę krwi w turystycznej lodówce w biurze. Zapewne nie zorientowała się, co to za płyn, a może, jakoduch, nie zawsze wychwytuje wszystkie szczegóły.

- Soniu – mówię, widząc jak podlatuje do mnie – powinnaś o czymś wiedzieć. Jestem potworem, takim samym jak...
Opuszki chłodnych palców dotykają mych warg, a w oczach dziewczyny widzę zrozumienie i akceptację.
- Nie – mówi Sonia. - Nie jesteś.